

Rzeźnik

1

Ostrze łagodnie weszło w mięsień i płynnym ruchem przecięło go na całej szerokości. Widać było, że czynność jest opanowana, do perfekcji. Zwinięty plaster opadł miękko na pień.

Czarne mięso załśniło ożywione dotknięciem noża. Rzeźnik, lewą ręką ułożoną na płask, przytrzymał szeroki antrykot, prawą znowu rozplatał bryłę. Spodem własnej dłoni poczułam chłodną, elastyczną masę. Patrzyłam jak nóż wsuwa się w zwarte, martwe ciało i otwiera je niczym promienistą ranę. Stał prześlizgnęła się jeszcze raz po ciemnej wypukłości, ostrze i powierzchnia mięsa zabłyśły.

Rzeźnik pozbierał kolejno plastry i ułożył je równiutko na pniu. Spadały z matowym odgłosem, jakby ktoś całował drewno.

Czubkiem noża rzeźnik zaczął formować kawałki, odcinał tłuszcz, żółtawe okrawki ciskał o wyłożoną kafelkami ścianę. Z wiszącego na żelaznym haku zwoju zerwał arkusz pergaminu, położył pośrodku plaster, dorzucił następny. I znów pocałunek, z głośniejszym mlaśnięciem.

Odwrócił się do mnie, na jego dłoni płasko spoczywała ciężka paczka; rzucił ją na wagę.

Owionął mnie mdły zapach surowego mięsa. W pełnym świetle letniego poranka, wdzierającym się przez szerokie wystawowe okno, widziałam mięso wyraźniej: było czerwone, jaskrawe, piękne aż do obrzydzenia. Kto powiedział, że ciało jest smutne? Nie jest smutne, jest złowrogie. Ciało zajmuje miejsce po lewej stronie duszy, bierze nas w posiadanie w chwilach największego zatracenia, porывa nas na bezkresne morza, pogrąża i ocala; ciało jest naszym przewodnikiem, czarnym i gęstym światłem, szybem, do którego nasze życie wwierca się spiralnym ruchem i zostaje wessane z zawrotną prędkością.

Leżąca przede mną wołowina była przecież ciałem przeżuwacza z pastwiska, tyle że uszła z niego krew – życiodajna, rwąca rzeka, z której zostało zaledwie parę kropel, niczym koraliki na białym pergaminie.

I rzeźnik, który cały dzień mówił mi o seksie, też był stworzony z takiego ciała, ale ciepłego, na przemian miękkiego i twardego; rzeźnik miał lepsze i gorsze kawałki, które czegoś się domagały, pragnęły z żarem przemknąć przez życie, przemienić się w mięso. To samo działo się z moim ciałem, słowa rzeźnika rozniecały mi ogień między nogami.

W tylnej części blatu biegła szczelina, do której wsuwano komplet noży do rozcinania, krojenia, siekania. Przed wbiciem się w mięso rzeźnik szykował sobie ostrze przeciągając je po osełce tam i z powrotem, z jednej strony, i z drugiej, przez całą długość stalowego bagnetu. Świdrujący zgrzyt drażnił mi zmysły aż po korzenie zębów.

Za szybą, rozwiartowane różowe króliki z rozplatanymi brzuchami ukazującymi pokaźne wątroby, wisiały bezwstydnie, męczeńsko ukrzyżowane, złożone w ofierze pożądlivym gospodyniom. Kurczaki o chudych żółtych szyjkach rozciągniętych i przebitych żelaznym hakiem, zwracały ku niebu łebki; ich masywne, pokryte gruzełkową skórą ciała zwisały godne pożałowania – tylko kupekrek sterczał im fantazyjnie nad otworem odbytowym jak błazeński nos na twarzy klauna.

Różne części wieprzowiny, cielęciny, wołowiny, baraniny wyłożone na wystawie niczym prejoza, podniecały apetyty klientów. Kawałki mięsa mieniły się czerwienią, od bladego różu do szkarłatu, i odbijały światło jak żywe klejnoty. Nie mówiąc już o podrobach, wspaniałych podrobach, części najbardziej intymnej, autentycznej, w najtajniejszy sposób przypominającej istotę zmarłego zwierzęcia: ciemny, krwisty miąższ wątroby, olbrzymie, obscenicznie chropowate ozory, enigmatyczne, kredowe mózgi, zwinięte w same krągłości nerki, oplątane naczyniami serca; wreszcie to, co skrzętnie ukrywano w lodówce: płucka dla babcinych kotów – bo brzydkie, gąbczaste i szare; cielęce grasice – rarytas odłożony dla najlepszych klientek; no i baranie jądra – przysmak pewnego zażywnego jegomościa, sprowadzany na specjalne zamówienie z rzeźni, starannie pakowany i wręczany mu zawsze z najwyższą dyskrecją.

Dla właściciela sklepu i rzeźnika wszystko stanowiło zazwyczaj pretekst do rzucanych półgębkiem, niewybrednych dowcipów, ale to regularne i zdumiewające zamówienie pomijali milczeniem.

Wprawdzie obaj byli przekonani, że przez cotygodniowe spożywanie baranich jąder ich klient osiąga i utrzymuje wyjątkową potencję, jednak mimo przypisywanych temu rytuałowi zalet, sami nigdy nie dali się skusić. Ta część męskiej anatomii, tyle razy wychwalana w rozmaitych żartach i powiedzonkach, mimo wszystko, budziła szacunek. I nie ulegało wątpliwości, że przekraczając pewną granicę popełniliby świętokradztwo.

Owe jądra baranie podniecały i moją wyobraźnię. Nigdy ich nie widziałam – nie śmiałam nawet poprosić, żeby mi je pokazano. Jednak rozmyślałam o różowym, pękatym zawiniątku i o jegomościu, który zabierał je w milczeniu, kiedy jak wszyscy klienci uregulował rachunek, u mnie w kasie (jądra sprzedawano za śmiesznie niską cenę). Jaki smak i konsystencję mogła mieć ta cielesna relikwia? Jak ją przyrządzał? A przede wszystkim, jakie miała działanie? Ja również byłam skłonna przypisywać jej wyjątkowe właściwości i niestrudzenie snułam domysły.



Uśmiechnął się, utkwił wzrok w moich oczach. To był sygnał. Wbijał się w głęb, daleko poza źrenice, przebiegał całe moje ciało, wciskał się w brzuch. Rzeźnik za chwilę zacznie mówić.

„Jak się dziś ma moje maleństwo?”

Pająk przędzie śliną sieć.

„Dobrze spał koteczek? Nocka za bardzo się nie dłużyła? Nic ci nie brakowało?”

Proszę. Znowu się zaczyna. Obrzydliwe. A jednak sprawia przyjemność.

„A może nie byłaś sama, może ktoś zajął się twoim futerkiem? Lubisz to, prawda? Widać po oczach. Bo ja byłem sam, nie mogłem zasnąć. Cały czas myślałem o tobie...”

Rzeźnik, zupełnie nagi, trzyma w ręku członek i potrząsa nim. Poczułam, że się cała lepię.

„Oczywiście wolałbym, żebyś była ze mną... Ale niedługo przyjdiesz... Zobaczysz, kochanie, jak się tobą zajmę... Mam zręczne palce... I długi język, przekonasz się. Będę ci wylizywał cipkę jak nikt przedtem. Czujesz już, prawda? Czujesz zapach miłości? Lubisz zapach mężczyzny, kiedy spijasz jego soki?”

Mówił prawie szeptem. Jego słowa rozgniały się na moim karku, spływały po plecach, piersiach, brzuchu, udach. Przytrzymał mnie swymi małymi niebieskimi oczami, słodkim uśmiechem.

O tej porze właściciel z szefową kończyli przygotowywać stoisko w hali targowej i dawali ostatnie dyspozycje personelowi; klientów było jeszcze niewielu. Jak zwykle, gdy zostawialiśmy sami z rzeźnikiem, zaczynała się ta sama gra, nasza gra, nasz cenny patent na unicestwienie świata. Rzeźnik stał tuż obok mnie, oparty łokciami o kasę. Ja siedziałam beczynnie, wyprostowana jak struna na wysokim taborecie. Po prostu słuchałam.

Mimo woli dawałam mu do zrozumienia, że pod wpływem jego słów narasta we mnie podniecenie, zdawał sobie sprawę, jaką moc mają nade mną jego słodziutkie machinacje.

„Założę się, że już masz mokro w majteczkach. Lubisz, jak do ciebie mówię, co? Zrobię ci dobrze, samymi słowami, spodoba ci się to... Muszę tylko mówić cały czas, bez przerwy... To tak jakbym cię dotykał... czułabyś to samo... Wszędzie, delikatnie, językiem... przytulę cię mocno, zrobię z tobą, co zechcę, będziesz moją laleczką, ukochaną pieścioszką... Na pewno chcesz, żeby tak było, bez końca...”

Rzeźnik był wielki i gruby, miał bardzo białą skórę. Mówił dalej. lekko posapując, jego głos tracił barwę, rozplýwał się w szeptach. Na twarzy wystąpiły mu różowe placki, wargi miał wilgotne i świecące; niebieskie oczy stawały się coraz jaśniejsze, aż utworzyły bladą, świetlistą plamę.

Na wpół przytomna zastanawiałam się, czy zaraz nie wytryśnie i nie pociągnie mnie za sobą, czy wraz z tym strumieniem słów nie popłynie nasza wspólna rozkosz. Świat stał się biały jak jego fartuch, jak wystawowe okno, jak mleko mężczyzny, krowie mleko, wielki brzuch rzeźnika, pod którym kryło się to, co przez niego mówiło, szeptało mi w kark, gdy tylko zostawialiśmy sami, młodzi i rozpaleni, niczym wyspa pośród zimnego mięsa.

„Uwielbiam wylizywać futerko takich dziewczuszek. Pozwolisz mi, prawda? Pozwolisz się wycmokać? Rozchylę delikatnie twoje śliczne różowiućkie wargi, najpierw duże, potem małe, włożę tam

czubek języka, cały język, i będę cię wylizywał od dziurki do guziczka, och, cudowny guziczek, będę cię ssał najdroższa, zrobisz się wilgotna i lśniąca i w moich ustach poczujesz nieustającą rozkosz, masz na to ochotę... Zjem ci dupcię i cycuszki, ramiona, ręce, pępek, dołki w plecach, uda, nogi, kolana i palce stóp... Usiądziesz mi na nosie, zabraknie mi tchu w twoim tyłeczku, głowę położysz mi między nogami i weźmiesz do słodkiej buzi mojego wielkiego kutasa. Pozwól kochanie, spuszczę ci się do gardła, na brzuch, albo w oczy jeśli będziesz wołała. Noce są tak długie, będę brał cię od przodu i od tyłu kotku i nigdy, nigdy nie będziemy mieli dosyć...”

Szeptał mi teraz prosto do ucha, choć pochylony tak blisko, nie dotykał mnie i nic już dla nas nie istniało – nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, gdzie jest świat. Sparaliżowały nas szeptane dźwięki, które wymykały się i zaczynały żyć własnym życiem, jak pozbawione powłoki cielesnej zwierzę, dokładnie między jego ustami a moim uchem.

Rzeźnik podłożył rękę pod maszynę do mielenia, z której wysuwało się mięso długimi, cienkimi wężykami i sklejało, tworząc na dłoni mężczyzny miękką, uklepaną masę. Wyłączył maszynę, dwoma kęsami połknął czerwoną bryłę.

Może napiszę do Daniela dziś po południu.

Daniel. Mój najukochańszy, mój czarny anioł. Chciałabym powiedzieć Kocham, a słowo to niechby wydrążyło otwór w twoim ciele, w świecie, w ciemnej masie życia. Dzięki temu otworowi mogłabym cię przywiązać do siebie (przeciągnęłabym przezeń wspaniałą linę, jaką przymocowuje się statki do nabrzeża i która straszliwie trzeszczy zimą gdy szaleje wichura), chciałabym się w tym otworze zanurzyć. Pływać w twym blasku, twej aksamitnej, ciężkiej nocy, w połysku mory. Gdyby te słowa były tak silne jak miłość, która przeszywa mi brzuch i sprawia ból! Niemożliwa zagadka, przedziwna niemoc, ostrzeżenie, dzięki któremu w obliczu niebezpieczeństwa stanę wyprostowana głową w dół, jak wykrzyknik, nękana nieznośnymi zawrotami głowy. Gdzie jesteś, Danielu? Wszystko wiruje, morze śpiewa pieśni, ludzie płaczą, a ja odpływam w nieznanne po rtęciowych jeziorach, z rękami wyciągniętymi do przodu, powtarzam sobie stare wiersze, w których głosy brzmią zbyt łagodnie. Daniel, Daniel... Kocham cię, słyszysz? To znaczy pragnę cię, porzucam, czuję odrazę, nie mam cię wcale, mam cię całego, pochłaniam cię, zagarniam bez reszty, niszczę siebie i przebijam się tobą na śmierć. I całuję twe powieki, wsysam się w twoje palce, mój najdroższy...

Rzeźnik mrugnął do mnie po przyjacielsku. Czyżby wszystko już zapomniał? Zdjął z wystawy kawałek schabu, położył go na ladzie i zaczął kroić na plastry. Chwycił tasak, rozdzielił pocięte nożem kotlety i energicznie odrąbał kość, dzięki której mięso stanowiło dotąd jedną bryłę.

„Tak będzie dobrze, łaskawa pani?” Rzeźnik był zawsze uprzedzająco grzeczny dla klientek i patrzył na nie z głębokim szacunkiem, jeśli tylko nie były zbyt stare i brzydkie. Z pewnością miał ochotę dotknąć tych wszystkich piersi i pośladków, i wprawnymi dłońmi pomacać je jak ładne kawałki mięsa. Rzeźnik miał duszę wypełnioną ciałem.

Patrzyłam, jak z ledwie skrywanym pożądaniem przygląda się kształtom w letnich strojach i widziałam w nim same dłonie i genitalia, spełnienie i pożądanie. Spełnienie znaczyło kontakt z zimnymi kawałkami mięsa, ze śmiercią. Ale właśnie pożądanie utrzymywało rzeźnika przy życiu, nieustannie podsycane pragnienie ciała, od czasu do czasu zmaterializowane w szeptach między jego ustami a moim uchem.

I stopniowo czarodziejska moc brała górę nad mą wolą i czułam, jak jego pożądanie wnika we mnie. Obejmowało ono nie tylko tłuste cielsko rzeźnika, ale i inne ciała, także klientek, które rozbięrał wzrokiem, i moje własne. Ku tym wszystkim ciałom promieniowało z mojego brzucha nieustające rozjątrzenie.

„Moje maleństwo, w porównaniu ze mną jesteś leciutka jak piórko. Będę musiał rozbierać cię bardzo ostrożnie, żeby cię nie pokruszyć. Ty też mnie rozbierzesz, najpierw koszula, potem spodnie. Będzie mi już stał i na pewno wysunie się ze slipów. Zdejmiesz je również i od razu zapragniesz wziąć ten gorący i twardy pakunek, będziesz chciała jego soku i zaczniesz go pieścić, ssać, wreszcie wsuniesz go sobie między nogi, nadziejesz się na mnie i będziesz cwałować w pogoni za rozkoszą aż z nas obojga wyleje powódź. Och kochanie, wiem, że dojrzewa to w nas już od wielu, wielu dni... wybuchniemy, oszalejemy i zrobimy coś, czego nigdy dotąd nie robiliśmy, i będziemy chcieli jeszcze. Dam ci swoje jaja i kutasa i zrobisz z tym co zechcesz, a ty mi dasz kocurka i dupcię a ja będę panem i władcą, powlekę cię spermą i sokiem aż twoja pupa rozbłyśnie w nocy jak księżyc.”

Czy szept niósł na pewno słowa rzeźnika? Danielu, dlaczego?

Po południu wracałam do siebie, do pokoju w mieszkaniu rodziców. Próbowałam pracować nad obrazem, do którego zabrałam się na początku lata, ale jakoś mi nie szło. Nie mogłam doczekać się końca tych wakacji, powrotu na uczelnię, marzyłam, żeby znów się przeprowadzić do wynajętego pokoju, myślałam o spotkaniu z kolegami z Akademii, zwłaszcza z Danielem. Brałam papier, flamastry, tusz i zaczynałam pisać list znacząc stronice małymi rysunczkami.

Większość studentów Akademii lubiła malować na ogromnych płótnach zajmujących nieraz całą ścianę. Ja chciałam skondensować świat, uchwycić go i zamknąć w całości na możliwie najmniejszej przestrzeni. Moje miniatury należało oglądać z bliska, a detalom poświęciłam wiele, wiele nocy. Przyszło mi kiedyś do głowy, żeby zająć się rzeźbą. Wykonałam pierwsze modele z kulek gliny wielkości paznokcia; ale po wypaleniu drobiazgi te, uformowane z jubilerską precyzją, stawały się tak kruche, że przy pierwszym dotknięciu zamieniały się między palcami w kupkę brunatnego proszku.

I czytałam wiersze, a wieczorami powtarzałam sobie fragment „Zaratustry”, gdzie była mowa o morzu, które oddycha ciepło i jęczy od złych wspomnień.

Daniela poznałam u mojego brata. Właśnie utworzyli zespół rockowy z tą dziewczyną. Siedziała między nimi na łóżku, chude nogi w obcisłych, cętkowanych rajtuzach podkurczyła w ten sposób, że stopy miała schowane pod pośladkami. Słuchali muzyki, rozmawiali o komiksach, śmiali się. Pod jej obszernym swetrem rysował się ciężkawy biust, potrząsała małą główką z włosami przystrzyżonymi przy skórze, wyrzucając z siebie słowa donośnym głosem. Odgrywała solistkę. Daniel wciąż na nią spoglądał, a ja zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Paliliśmy i piłam kawę jak oni, ale nie odzywałam się. Przysuwali się do niej coraz bliżej, raz po raz kładli jej rękę na udzie.

Nie słuchałam też, co mówią. Wyłączyłam magnetofon. Daniel miał ciemne włosy, jego czarne oczy przyfrunowały i odfrunowały jak kruki, na chwilę siadały na mnie i kłuły mnie drapieżnymi dziobami.

Bolał mnie brzuch. Leżałam na podłodze. Nienawidziłam tej dziewczyny.

Miała obrzydliwe piersi, jak lalka Barbie, którą tarłowałam w dzieciństwie. Mój brat i on na pewno z trudem powstrzymywali się, żeby ich nie dotknąć. A może już jeden położył dłoń na jej prawej piersi, drugi na lewej.

Powietrze, które wdychałam, spływało mi, gorzkimi strumieniami aż do pępka.

Odwróciłam się twarzą do podłogi i paliłam tak dużo, że czułam mrówki w opuszkach palców. Ona zginała i prostowała nogi, a obcisłe rajtuzy uwypuklały szczególnie jej anatomii – niewielki wzgórek ze szparką między udami. Perkusja waliła we mnie. Śledziłam jego wzrok, żeby przekonać się, czy i on patrzy w to miejsce na rajtuzach, gdzie kończył się sweter, pod którym przy każdym ruchu kołysały się jej piersi. Drań patrzył tam.

Robił się coraz większy upał. Dostarczał tematu do rozmów. Kiedy tylko rzeźnik wychodził z chłodni, klientka pytała: „Tam jest przyjemniej, prawda? Przytakiwał ze śmiechem. Czasem, gdy kobieta mu się podobała i nie sprawiała wrażenia zbyt nieprzystępnej, z błyskiem w oku ośmielał się zaproponować: „Może razem pójdziemy sprawdzić?” Starał się przybierać jak najbardziej beztrojski ton, żeby nieco odwrócić uwagę od swojego wzroku.

Propozycja nie była całkiem niewinna. Często zdarzało się, że właściciel z szefową spędzali w chłodni kilka minut i wychodzili rozczochrani, z niewyraźnymi minami.

Pewnego dnia, pod nieobecność właściciela, rzeźnik zamknął się z nią w chłodni. Nie mogłam się oprzeć, żeby nie otworzyć drzwi.

Między rzędami baranich i cielęcych tuszy szefowa stała uczepona dwiema rękami wielkich żelaznych haków, jakby trzymała się w metrze czy autobusie, żeby nie stracić równowagi. Spódnice miała zadartą i zawiniętą wokół talii, widać było jej uda i biały brzuch z czarną kępką, która oglądana z boku tworzyła wypukłą plamę. Z tyłu rozlewało się cielsko rzeźnika, stał ze spuszczonej spodniami i fartuchem również okrytym wokół pasa. Kiedy mnie zobaczyli, przestali cudzołożyć, ale rzeźnik tkwił nadal w bujnym tyłku szefowej.

Ta scena stawała mi przed oczami, ilekroć jakaś klientka robiła aluzję do przyjemnego chłodu na zapleczu. Szefowa zawieszona jak tusza i rzeźnik wpychający w nią swoją narośl, pośród gąszczu mięsniwa.

Ludzie wchodzili bez ustanku. Rzeźnik nie miał czasu nawet do mnie zagadać. Rzucając paczki na wagę mrugał tylko znacząco. Miałam do niego żal o tę historię z szefową i przez parę dni nie pozwalałam mu na szepty do ucha. Zaczął więc wspominać swoją praktykę w rzeźni. To była ciężka próba, bardzo ciężka, podobno omal nie zwariował. Ale właściwie nie potrafił o tym mówić, nagle milknął, a jego twarz powlekała się szarością.

Codziennie zaczynał opowieść o rzeźni, ale nie mógł nic z siebie wydusić; stawał się coraz bardziej posepny.

Z nadejściem weekendu, któregoś popołudnia, koło wpół do drugiej (najgorsza pora z powodu zmęczenia, głodu, wypitej szklaneczki wina), pokłócił się z pomocnikiem, który wrócił właśnie z targowiska. Podniesionym głosem miotali urywane zdania, obaj hardzi, zacierzeni. Pomocnik rzucał obelgę i z szerokim, pogardliwym gestem, jakby chciał się opędzić od przeciwnika, wszedł do chłodni.

Rzeźnik poczerwieniał ze złości, nigdy go nie widziałam w takim stanie. Porwał z lady wielki nóż i z wściekłością w oczach ruszył za chłopakiem.

Dopaadłam go, zanim zdążył zatrzaskać drzwi, schwyciłam za lewą rękę i zawołałam do niego po imieniu.

Wtedy właśnie po raz pierwszy go dotknęłam. Spojrzał na mnie, zawahał się chwilę i wrócił za mną do sklepu.

Od tego dnia znów pozwalałam mu na szepty. Marzenia o naszych wspólnych miłosnych chwilach, dotąd raczej dyskretne, stały się teraz o wiele bardziej dosadne.

Próby odbywały się w piwnicy mojego domu i na ogół wstępowali do mnie na górę. Zaczęłam nosić obcisłe spodnie ze skaju i pulowerki mocno przylegające do moich drobnych piersi, usta robiłam sobie za duże, obrysowując je szeroko szminką.

Tamta też przychodziła, co budziło we mnie mieszane uczucia: pragnęłam podobać się jej, podziwiać urodę, kochać ją, a jednocześnie byłam o nią potwornie zazdrosna. Chwilami miałam ochotę pchnąć ją w ramiona Daniela, zobaczyć, jak ją obejmuje wpeł i kładzie wargi, na jej ustach – wyobrażałam to sobie, jakby w zwolnionym tempie: lekko pochylone twarze zbliżają się pomału, miękkie zderzenie warg, języki splatają się... Ale, gdy tylko dostrzegałam najmniejszy gest porozumienia między nimi, miałam ochotę wyszarpać im usta i oczy, roztrzaskać głowy jedną o drugą.

Parzyłam herbatę i gadaliśmy, paląc papierosy.

Na zmianę z rajtuzami w panterkę nosiła skórzaną spódniczkę i koronkowe pończochy, nie rozstawała się z czarną kurtką i wielkimi, ekstrawaganckimi klipsami.

Któregoś dnia Daniel powiedział, że taką biżuterię wymyślono po to, by pozbawić dziewczyny przyjemności gryzienia je w ucho. Wtedy ściągnęła klipsy, usadowiła się na kolanach siedzących obok siebie chłopców i kazała im gryźć się w oba uszy naraz, krzycząc przejmującym głosem: „Och, tak, tak, już dostają orgazmu!” I wszyscy troje zaśmiewali się.

Obserwowałam ich z ciekawością i lękiem. Daniel sprowadził się teraz do mojego brata. Mieszkanie było dostatecznie duże, komorne płacili na spółkę. Właściwie nigdy ich nie odwiedzałam.

Obaj niewinnie podkpiwali sobie ze mnie, bo zamknięta w czterech ścianach malowałam wciąż maciupęńkie obrazki; przybierali protekcyjny ton, jakbym była młodszą siostrą ich obu, uważali, że ładnie wyglądam, kiedy do pracy zwiążuję włosy w koński ogon.

Przestałam w ogóle jeść, chciałam umrzeć z miłości, jak w starych baśniach, codziennie podziwiałam w lustrze coraz bardziej wystające żebra i bladą z wycieńczenia cerę; miałam zawroty głowy, moje ciało stawało się lekkie, byłam przezroczysta dla świata.

A po południu kładłam się do łóżka, płakałam w poduszkę myśląc o Danielu, wreszcie zdejmowałam majtki i w słodkim, rzewnym nastroju pieściłam się aż do szczytu rozkoszy i pełnego wyczerpania.



Kiedy mężczyzna wszedł do sklepu, spuściłam natychmiast oczy, żeby go nie widzieć. Doszłam do siebie, przewyciężyłam obrzydzenie.

Mężczyzna nie miał twarzy.

Jego głowa była już tylko ogromnym czyrakiem, bezkształtną masą całą w bąblach i pęcherzach, niesamowitych naroślach, monstualnych wrzodach, które wystrzeliwały na parę centymetrów z krostowatej powierzchni z głębokimi kraterami w środku, istne wulkany żywego mięsa.

Poczułam, jak krew ze mnie odpływa, przed oczami pojawiły się czarne platy, żołądek podjechał mi do gardła.

Bulwiasta głowo, tworze ludzkiego ciała, kto wie, czy nie byłaś piękna? A wy, bracia syjamscy, karły i olbrzymy, albinosi, wielogłowi, jednoocy?

Czy ktoś kiedykolwiek zdoła zrozumieć świat? Jego czterolistne koniczyny? Czy świat sam w sobie nie jest monstualny, a my czyż nie jesteśmy jego gnijącymi, pełnymi chwały ropniami?

Wyrzuciłam dziś rano bukiet róż, które stały od wielu dni w sypialni. Gdy tylko wyjęłam je z wazonu, pokój wypełnił się mdlącym zapachem wody. Róże były jeszcze bardzo piękne. Nieco spłowiałe płatki wypadały mi z rąk i układały się na podłodze w wyblakłą wiązanekę. Zbierałam je pojedynczo, jakże jedwabiste, delikatne, i przyszło mi na myśl, żeby spróbować, jaki mają smak, chciałam zrobić z nich suknię zmysłów, poduszkę marzeń; kiedy miałam już pełną garść, otworzyłam dłoń i patrzyłam, jak płatki odrywają się od niej nad śmietnikiem.

Mężczyzna wyszedł, jego duch jednak pozostał. Upał zgęstniał jeszcze bardziej. Leżąca na pniu bulwiasta głowa zakwitła pękiem ropnych chorób, jątrzących się ran, gnijących zgorzeli. Stwardniałe, sine jęzory, obrzękłe uszy, ciała wydzielające robactwo wszystkimi porami, oto kobieta wyciąga ze środkowego palca żółtą główkę węża, delikatnie wydobywa z ręki całego gada, robaki wiją się i usiłują wyrwać sobie kawałki mięsa, brzuch otwiera się, cuchnące flaki wypływają na ziemię błotnistą rzeką, pełen kielków żołądek puszcza pędy do płuc, serce błyszczący, brzuch wzbiera wodą, to morską głębiną, w której pływają złote rybki, pluskają karłowate sumy, w oceanie mleka słychać gulgotanie wielorybów i śpiew syreny, nadpływa ośmiornica zaplątana w macki przywiera do ciemnej skały w odmętach, to otwór rodny w którym kryją się różowe laleczki o okrutnych twarzach, ta ma kręcone włosy i uśmiecha się podwójnymi ustami, leży wśród tańczących alg i swą buzią-ssawką uwodzi rekiny, ma brzuch pełen krabów i oczu oszalałych ryb. Inna kołysze się na wodzie i nabrzmiewa uderzana morskim prądem, widać w jej wnętrzu likworowe fale unoszące bukiety o natrętnym zapachu i oto nagle wypręża się i z jej lśniącego fioletowego narządu wytryska bielusiańka rozkwitła róża.

Byliśmy omotani siecią ciał jak muchy pajęczyną. Widziałam, jak z damskich dekoltów, z męskich szortów zwisały jeszcze strzepy tej grząskiej substancji, z której wyrwali się z trudem, by krążyć po ulicach i plażach, upodobnić się do betonu, kamienia, piasku, do wszystkiego, co pozbawione jest pulsującej krwi, bijącego serca, pęczniejącego organu. Ich mizerne odzienie, żalonna opalenizna nie wystarczały, by zasłonić wstyd. Wciąż jeszcze srali, sikali, pieprzyli się w ukryciu.

Oto dlaczego niektórzy uparcie konserwowali swoje ciało jak maszynę, pozbawiali się każdego niepotrzebnego skrawka – bardziej zależało im na wytrenowanym mięsie niż na nieumięśnionym mózgu.

Szanowni klienci i klientki sklepu rzeźniczego, szanowne ciała o zimnych duszach! Gdybyście wiedzieli jak ja was nienawidziałam! Ta wasza odwieczna troska o akuratność, demonstracyjnie okazywana nonszalancja letników, powaga przy wybieraniu kawałka mięsa, niepokój przy odczytywaniu ceny, wyższość, z jaką traktowaliście rzeźnika i kasjerkę!

Wam nigdy nie udało się wymyślić zakazanych wierszy, wypowiedzianych tylko półgłosem, przez wiele, wiele dni.

Właściciel też miał swój tajemny, niezrozumiały dla was język.

Kiedy obsługując panią mówił głośno i bardzo szybko: „Polizalbysobietępięknaćcipkę”, co mogła pani odpowiedzieć? Chyba się pani przesłyszała, czuła się pani nieco zbита z tropu. Ale lepiej było nie reagować, w przeciwnym razie doszłoby do uszczerbku na honorze, do strzaskania pancerza wyniosłego majestatu. Przede wszystkim zaś musiałaby pani wywołać skandal i zrezygnować ze wspianego udźca baraniego – jeśli tylko przyjąłaby pani do wiadomości, że właściciel zaprzyjaźnionego sklepu publicznie mówi do pani podwójnym językiem, konwencjonalnym a zarazem rzeźniczym.

Któregoś wieczora wróciliśmy późno z koncertu i brat zaproponował, żebyśmy zanocewała u niego.

Ponad godzinę przewracałam się z boku na bok na kozetce w salonie, aż wreszcie wstałam jak lunatyczka, weszłam do pokoju Daniela i położyłam się koło niego.

Objął mnie, przycisnął do siebie, poczułam na brzuchu jego twardniejącą męskość.

Śmiał się z tej wizyty w środku nocy, a we mnie wzbierał strach przed mającym się spełnić aktem, przed odkryciem ciała mężczyzny. Chciałam kochać, pragnęłam Daniela, rozpaczliwie przywarłam do niego całą sobą, moje ciepło stopiło się z jego ciepłem, wszedł we mnie dwa razy i dwa razy sprawił mi ból, zanim wytrysnął.

Rozwidniło się. Wracałam do domu piechotą. Śpiewałam, śmiałam się. Wprawdzie nie doznałam uczucia wzbierającej rozkoszy, ale straciłam dziewictwo i byłam do szaleństwa zakochana.

Wstałam wtedy po ciemku i jak kotka nocą ruszyłam mrocznym korytarzem do Daniela, z otwartym brzuchem do rozgrzanego mężczyzny, śpiącego w schronieniu łóżka. I dwa polujące nocą drapieżniki odnalazły się bez trudu, przyjął mnie, przygarnął, dotykałam jego skóry, wdychałam zapach, wszedł we mnie.

Był we mnie. W południe nadal go chciałam, ale nie miałam odwagi zatelefonować. Dopiero wieczorem dowiedziałam się, że Daniel wyjechał do rodziny na wakacje.

Tamtego ranka, natychmiast po powrocie do domu, zjadłam trzy pomarańcze, rozpamiętywałam wszystko, mimo woli uśmiechałam się. Nie wiedziałam jeszcze, że zamierza wyjechać. Nie wiedziałam jeszcze, że tak często będzie mnie opuszczał, a tak rzadko wracał, że tyle będzie czekania, tak mało nocy i nigdy rozkoszy.

Spojrzałam na rzeźnika, i zapragnęłam go. A przecież był brzydki, miał tłusty brzuch, obciśnięty fartuchem poplamionym krwią. Ale ciało miał pociągające.

Czy sprawił to upalny koniec lata, czy dwa miesiące rozłąki z Danielem, a może zaśliniony szept rzeźnika? Ogarnęło mnie nieznośne podniecenie. Patrzyłam na wchodzących do sklepu mężczyzn, rozbierałam ich wzrokiem, widziałam nabrzmiałe członki, wpychałam je sobie między nogi. Rzeźnikowi i właścicielowi oddawałam kobiety, których pożąдали, podnosiłam im spódnicę i rozchylałam nogi. Głowę wypełniały mi nieprzyzwoite myśli i obelgi, czułam własny narząd płciowy w gardle, siedząc za kasą miałam ochotę ulżyć sobie ręką, ale to byłoby za mało, za mało.

Może bym poszła po południu do rzeźnika.

Danielu. Zobacz, co się ze mną dzieje. Nie mogę złapać tchu. Zlituj się, połóż mi ręce na głowie. Danielu, niech ustąpi mój gniew, a ciało zazna ukojenia. Weź mnie, Danielu, daj mi rozkosz.

Danielu. Usiłowałam namalować bukiet róż. Nie śmieję się. W jaki sposób oddać barwę róży, jej delikatność, finezję, kruchość, zapach? A jednak pragnę, podejmuję próby, krążę wokół.

Czyż nie jesteśmy śmieszni, gdy chcemy uchwycić świat prawą ręką uzbrojoną w pióro i pędzel? Świat nie chce nas znać, świat nam się wymyka. Mam ochotę płakać na widok morza, gdy słyszę fale lub kładę się w trawie, gdy patrzę na różę. Wkładam nos w różę i wysysam biały sok z traw, ale trawa i róża nie poddają się, trawa i róża zachowują swą straszną tajemnicę.

Czy pomyślałeś kiedy o zagadce istnienia olbrzymich dyń pośrodku warzywnika? Po prostu są, spokojne i świetliste jak posągi Buddy, równie ciężkie jak ty, i przed tym niezwykłym tworem ziemi nagle ogarniają cię wątpliwości, wychylasz się poza własną realność, patrzysz na swoje ciało ze zdziwieniem, zaczynasz poruszać się po omacku, jak ślepiec. Warzywnik pozostaje niewzruszony, nadal dyndają błyszczące pomidory i strąki fasoli, rozpełza się pachnąca nać pietruszki i rozchylone główki sałaty. A ty powoli odchodzisz, zupełnie obcy.

Danielu. Dziś po południu może pójde do rzeźnika. Nie gniewaj się, kocham tylko ciebie. Ale rzeźnik jest pełen ciała i ma duszę dziecka.

Danielu. Dziś po południu na pewno pójde do rzeźnika. Nic się nie zmieniło, kocham tylko ciebie. Ale rzeźnik jest rozpustny, nie chcę już, żeby o mnie marzył.

Niepokoiliś się, Danielu, kiedy siadałam na parapecie okna trzeciego piętra. Podchodziłeś na palcach, chwytając w pól, żeby mnie przestraszyć. Śmialiśmy się, jeszcze przez moment machałam

nogami w próżni, i zanosieś mnie na łóżko. Tak było, kiedy zostawaliśmy sami, tylko we dwoje. Spuszczalam głowę poza krawędź, widziałam cały pokój do góry nogami, siadałeś na mnie, kładłeś mi ręce na szyi, delikatnie ścisakałeś, a sufit wirował.

Pamiętasz, jak kiedyś o świcie poszliśmy na plażę i ukradliśmy łódkę? Nie lubię kraść, świt był rozdzierający, kochałam cię.

Jeśli pójde do rzeźnika, to będzie tak, jakbym nas zabiła, Danielu. Przechodząc przez moje ciało jego wielkie cielsko zamorduje twoje szczupłe i jędrne ciało. Lubiłam twoje zgrabne, szerokie ramiona z plamkami piegów. Lubiłam twoje jedwabiste czarne włosy, wąskie usta, prosty nos, uszy, oczy, lubiłam twój głos, śmiech, lubiłam twój tors i płaski brzuch, lubiłam plecy, po których przesuwaly się moje palce, lubiłam twój zapach i nie myłam się chcąc go na sobie zatrzymać, lubiłam iść do ciebie przez miasto. Ulice mówiły mi: to tędy, na końcu jest on. Skrzył się śnieg, a tłum rozstępował się, żeby mnie przepuścić, byłam tylko ja i słońce na niebie i razem szliśmy do czarodziejskiej piwnicy gdzie miłość czekała aż rozchyle ramiona, płaszcz, nogi, aż cię obnażę, aż wyciągniesz się tuż obok mnie, ciało w ciało, oczy w oczy, usta w usta, i przyjmę cię na wieczność. Lubiłam czekać na ciebie Danielu, lubiłam twoją męskość, której nigdy nie mogłam dotknąć.

Kiedy rzeźnik będzie w moim ciele, Danielu, umrzemy oboje, umrze nasza historia i czekające mnie troski staną się miłym wspomnieniem. Rzeźnik swoim dobrze naostrzonym ostrzem... rzeźnik swoim dobrze naostrzonym ostrzem rozetnie mi brzuch i wyjdziemy z brzucha w którym byliśmy. Nie będziemy już mieli miłości dosyć w rękach żeby się jeszcze dotykać, oderwiemy się od siebie i będę cię oplakiwała. Rzeźnik swoim ostrzem będzie rozcinał i rozcinał, jeszcze rozcinał i rozcinał, jeszcze rozcinał i jeszcze... aż wypełni mnie swoim białym mlekiem. Moje oczy będą krwawiły, Danielu, a brzuch będzie się śmiał. Nie napiszę do ciebie, a może jeszcze raz opuścisz mnie. Ja cię porzucę, bo ten co ukradł księżyc nigdy nie wróci żeby pozbierać gwiazdy. Pojawia się duchy, dziwnie podobne do twej posępnej twarzy, przyjdą do mego łóżka, a ja ukołyszę je w ciągu jednej nocy, damy sobie wszystko, Danielu. Danielu, słyszysz jak słabnie mój głos? Rzeźnik rzucił mnie nagą na ladę i podniósł swój topór... moja głowa spadnie na okrwawiony pień... więcej cię nie zobaczę... więcej nie usłyszę. Tamten zliże mnie chłodnym językiem, tamten połknie jak obiecał i przestaniemy istnieć... będzie mi dobrze...

Upał wciąż narastał. Rzeźnik spowaźniał i zaglądał mi w głąb oczu, kiedy tylko odwracał się do wagi. Za każdym razem ze wzruszeniem wdychałam słodkawe wyziewy mięsa.

Przypomnialam sobie róże, nie zmieniałam im wody, a mimo to pozostały piękne. Oczywiście nie udało mi się oddać ich barwy przypominającej, wyblakłe obicie fotela, tyle że przezroczystej – wykwinny odcień bladego rózu przechodzącego w bardzo blady brąz na brzeżkach płatków.

Trwałam teraz skąpana w falach gorącego powietrza, ukołyszana mechanicznymi czynnościami kasjerki, ciężkim spojrzeniem rzeźnika. Grzęzłam w biernym oczekiwaniu; czas i materia ześlizgiwały się po mnie; miałam w ciele martwe płyty, inne dojrzewały za sprawą jakiejś tajemnej fermentacji.

Wokół ludzi unosił się zapach olejku do opalania i morza; mężczyźni wciąż jeszcze mieli przyklejone ziarenka piasku na owłosionych nogach, kobiety – na karkach, w zgięciach łokci, dzieci trzymały wiaderka, łopatki i waniliowe lody; właściciel z rzeźnikiem uwijali się między ladą a pniakiem, maszyną do mielenia a chłodnią; tasak zdecydowanymi ruchami odrąbywał kotlety, piła piłowała kość udźca, noże rozcinały mięso, a ja wkładałam do kasy pieniądze, brudne banknoty przechodzące z rąk do rąk.

Czas płynął, a rzeźnik przeszywał moją głowę na wylot. Krajał właśnie wołową łojówkę o długich, czarnych włóknach, kiedy ręka mu się osunęła. Kciuk zaczął obficie krwawić, wielkie, szkarłatne krople rozpryskiwały się połyskliwie na posadzce. Rzeźnik wetknął palec w fartuch, już poplamiony ciemnoczerwonymi smugami. Chciał wrócić do zaczętej roboty, ale krew nadal ściekała na pień.

Kiedy znowu do niego podeszłam, zauważyłam, że podłożona przeze mnie biała ściereczka przesiąkła na wylot. Dałam mu czystą. Krew spływała na tkaninę czerwonymi kwiatami. Otworzyłam buteleczkę ze spirytusem i wylałam mu zawartość na palec. Rzeźnik odrzucił głowę do tyłu, rana zaskrzyła się. Obtarłam ją delikatnie, położyłam ostrożnie kawałek gazy na żywe mięso, owinęłam

powoli palec. Gaza natychmiast zrobiła się czerwona; okręciłam kciuk jeszcze raz. Wystarczył zapach ściętej trawy, żebym poczuła się jak pijana.

Kciuk wyglądał teraz czyściutko, cały w bieli jak panna młoda. Poczułam na sobie wzrok rzeźnika. Wzięłam cienki, gumowy ochraniacz i nasunęłam na opatrunek.

Spuściłam oczy i przytrzymałam jeszcze chwilę jego rękę.

Mimo upału szefowa nakryła do stołu na dworze, w cieniu drzew. Właściciel, rzeźnik i sprzedawcy z targu pili już po drugiej szklaneczce anyżówki, zabawiali się wśród wrzasków i śmiechu.

Szefowa wniosła półmisek z wędlinami i sałatkę z pomidorów. Kiedy przechodziła koło właściciela, położył jej rękę na pośladku. Nadstawiła drugi.

Rzeźnik siedział przy mnie. Nakładałam mu na talerz, bo miał skaleczony kciuk. Właściciel jak zwykle świntuszył: „Trzeba było powiedzieć kasjereczce, że to nie na ten palec się wkłada!”

Kielbasa, której zakończenie kojarzyło się w sposób jednoznaczny, wywołała nowe salwy śmiechu.

Pasztety, rolady, mielonki, wędzonki zniknęły w mgnieniu oka.

Wino lało się strumieniami.

Szefowa wniosła grube na dwa palce krwiste steki z wyraźnymi śladami rusztu.

Właściciel i rzeźnik nałożyli sobie ogromne porcje, kawały mięsa niczym języki zwisały z obu stron talerzy. Mimo skaleczenia rzeźnik żwawo odkrawał wielkie kęsy i pożerał je łapczywie. Tryskały śmiechy i rubaszne dowcipy, ledwie do mnie docierały: zdążyłam się już przyzwyczaić, a wino przytępiło mi umysł.

Upał był nie do wytrzymania. Powietrze ani drgnęło, niebo stawało się ołowiane.

Przy serach podniecenie sięgnęło zenitu. Jak przez mgłę słyszałam okropne świństwa. Szefowa powiedziała do któregoś z siedzących przy stole mężczyzn: „Idź się wytrześć, przynieś mi pełną szklanekę, to ci wypiję”. Cały chór wykrzyknął: „Pycha!”

Wtedy wybuchła burza. Błysnęło, zagrzmiało, lunął deszcz. Ciepły, gęsty deszcz.

Pośpiesznie sprzątnięto ze stołu, wśród popychania, pisków i sprośnego śmiechu.

Zatrzęsły liśćmi platany.

2

Oboje milczeliśmy. Patrzyłam, jak wycieraczki wędrują po szybie tam i z powrotem, mokre włosy przykleiły mi się do policzków, ich zapach mnie odurzał.

Otworzył drzwi, wziął mnie za rękę. W plastikowych sandałach włożonych na bose stopy chlupotała mi woda. Zaprowadził mnie do salonu, wskazał fotel i przyniósł kawę. Potem, włączył radio i przeprosił na chwilę. Powiedział, że musi wziąć prysznic.

Podeszłam do okna, odsunęłam nieco firankę i patrzyłam jak pada deszcz.

Deszcz sprawił, że zachciało mi się, sikać. Wychodząc z toalety popchnęłam drzwi od łazienki. Było tam gorąco i parno. Lekko odchyliłam zasłonę prysznica, za którą rysowała się jego zwalista sylwetka. Popatrzyłam na niego. Wyciągnął do mnie rękę, ale wymknęłam się, zaproponowałam, że namydlę mu plecy. Stałam na krawędzi kabiny, włożyłam ręce pod gorącą wodę, wzięłam mydło, obracając je długo w dłoniach, żeby pokryły się grubą warstwą piany.

Kolistymi ruchami zaczęłam nacierać mu plecy od karku i ramion. Był barczysty, miał jasną skórę i umięśnione jędrne ciało. Posuwałam się w dół, dwiema rękami, z obu stron kręgosłupa. Masowałam mu boki, zahaczając nieco o brzuch. Pachnące mydło tworzyło delikatną pajęczą sieć białych banieczek spływających po wilgotnej skórze, puszystą materię, dzięki której moja dłoń ślizgała się po jego lędźwiach.

Przesuwałam się wiele razy wzdłuż kręgosłupa, w górę i w dół, od kości ogonowej do karku, tuż przy króciutkich włoskach, które fryzjer wygala czasem rozkosznie wibrującą maszynką.

Wróciłam do barków i namydliłam kolejno ramiona. Chociaż stał rozluźniony, poczułam naprężającą się krągłość bicepsów. Przedramię obrastały czarne włosy i musiałam dobrze rozprowadzić mydło, żeby utworzyła się piana. Dojechałam pod pachy, głębokie i owłosione.

Znowu posmarowałam sobie mydłem dłonie, położyłam je na pośladkach i zaczęłam masować okrężnymi ruchami. Mimo sporej objętości miały harmonijny kształt, opadały od lędźwi zgrabnym

łukiem, były krzepko spojone z dolnymi kończynami. Długo je gładziłam, chciałam poznać ich wypukły wykrój dłońmi, i wzrokiem.

Potem przesunęłam się wzdłuż twardych, masywnych nóg. Owłosiona skóra maskowała zapory z mięśni. Miałam wrażenie, że zagłębiam się w nową krainę ciała, bardziej dziką, aż po tajemniczy skarb pęcin.

Wtedy odwrócił się do mnie. Podniosłam głowę i spostrzegłam jego nabrzmiałe jądra i napięty członek sterczący nad moimi oczami.

Podniosłam się. Nie wykonał najmniejszego gestu. Znowu wzięłam do rąk mydło, zaczęłam myć jego tors, szeroki i muskularny, niezbyt owłosiony.

Schodziłam powoli wzdłuż napeężniałego i otoczonego silnie wyrobionymi mięśniami brzucha. Potrzebowałam sporo czasu, żeby namydlić całą skórę. Miał wystający pepek, biała kulka wyłaniająca się z oblewającej go krągłej masy. Moje palce krążyły wokół gwiazdy, usiłowały opóźnić chwilę, kiedy poddadzą się, przyciąganiu w dół, w stronę komety, która powstała przeciwko harmonijnemu, kolistemu porządkowi żołądka.

Uklękałam, by móc masować podbrzusze. Długo wędrowałam wokół genitaliów, bardzo powoli, aż po wewnętrzną stronę ud.

Jego organ był przeraźliwie wielki i naprężony.

Opierałam się pokusie, przedłużałam pieszczoty łona i krocza. Przywarł teraz do ściany z rozpostartymi ramionami, dłonie przyciskał do kafelków. Miał brzuch wypięty. Jęczał.

Czułam, że osiągnie orgazm, zanim zdążę go dotknąć.

Odsunęłam się nieco, usiadłam pod strumieniem prysznic i ze wzrokiem wciąż wbitym w jego zbyt nabrzmiały narząd, czekałam, aż się trochę uspokoi.

Gorąca woda spływała mi po włosach, pod sukienkę; przesycone parą powietrze pienilo się wokół nas, zacierало kształty i dźwięki.

Był u szczytu podniecenia, a jednak nie zrobił nic, by przyspieszyć kulminację. Czekał na mnie, był gotów czekać tak długo, jak zechcę przeciągać rozkosz, ból.

Znowu uklękałam przed nim. Jego członek, wciąż nabrzmiały, podskoczył.

Przesunęłam ręką po jądrach, od nasady przy odbycie. Członek poderwał się jeszcze bardziej, gwałtownie. Wzięłam go drugą ręką, ścisnęłam, zaczęłam powoli poruszać w górę i w dół. Mydliny nadawały ruchom cudowną śliskość. Moje obie dłonie wypełniała gorąca, żywa, magiczna materia. Czułam jak pulsuje niczym serce ptaka, któremu pomagałam lecieć tam, gdzie czekało uwolnienie. W górę, w dół, wciąż te same ruchy, ten sam rytm, i jęk nade mną; i ja jęczałam, w zmoczonej sukni oblepiającej mi ciało jak ciasna, jedwabista rękawiczka, w świetle, który zatrzymał się na wysokości mych oczu, jego podbrzusza, wśród szumu ściekającej po nas wody, na jego członku przesuwającym się pod moimi palcami, na ciepłych, delikatnych przedmiotach twardniejących w mych dłoniach, na zapachu mydła, mokrego ciała i spermy wzbierającej pod naporem mej ręki.

Płyn trysnął falami ochlapując mi twarz i sukienkę.

Ukląkł również, zlizywał mi z twarzy lzy spermy. Mył mnie jak myje się kot, dokładnie i z czułością.

Biała, pulchna twarz, różowy język na moim policzku, wyblakłe, niebieskie oczy, opadające powieki, jak po narkotyku. I jego ciało, rozleniwione i ciężkie, ciało obfitości...

Błada zieleń skąpanego deszczem łąnu, w łagodnym szumie gałęzi... Jesień, pada deszcz, jestem małą dziewczynką, spaceruję po parku, w głowie mi się kręci od zapachów i kropli, które czuję przez przemoczone ubranie, tam, na ławce siedzi jakiś grubas i przygląda mi się, przygląda się tak uparczywie, że zaczynam siusiać na stojąco, idę i siusiam, to ja padam ciepłym deszczem na park, na ziemię, w majtki, ja deszczowo padam, ja się podobam...

Ostrożnie zdjął mi sukienkę.

Potem, położył mnie na rozgrzanych kafelkach i w strumieniach prysznic zaczął obcałowywać moje ciało. Jego silne ręce unosiły mnie i obracały z największą delikatnością. Ani ucisk twardej posadzki, ani dotyk jego mocnych palców nie sprawiały mi bólu.

Rozluźniłam się całkowicie. Czułam mięsz jego warg, wilgotność języka w zgięciach łokci, pod piersiami, na szyi, w zagłębieniu kolan i między pośladkami, jego usta dotykały mnie wszędzie, od góry do dołu pleców, po wewnętrznej stronie nóg, czułam go aż w cebulkach włosów.

Ułożył mnie na wznak na gorącej, śliskiej terakocie, dwiema rękami uniósł moje biodra, mocno zaciskając palce w zagłębieniu pleców przy kręgosłupie, kciuki oparł na moim brzuchu; moje nogi położył sobie na ramionach, językiem dotknął sromu. Wyprężyłam się gwałtownie. Woda tysiącem igiełek kłuła mnie delikatnie w brzuch i piersi. Miarowym ruchem wylizywał mnie od pochwy do łechtaczki, ust nie odrywał od moich dużych warg. Mój narząd stał się wyżłobioną potokami koleiną, skąd wypływała rozkosz, świat zniknął, byłam już tylko żywym mięsem, z którego zaraz wytrysnęły gigantyczne kaskady, jedna po drugiej nieustannie, jedna po drugiej w nieskończoność.

Wreszcie napięcie opadło, moje pośladki spoczęły na jego ramionach, powoli wracała mi świadomość, poczułam strumień wody na brzuchu, znowu zobaczyłam prysznic, i jego, i siebie.

Wytarł mnie do sucha, położył do ciepłego łóżka, zapadłam w sen.

Budziłam się powoli, słyszałam jak deszcz uderza o szyby. Pościel była rozgrzana, poduszka przyjemnie miękka. Otworzyłam oczy. Leżał koło mnie, przyglądał mi się. Dotknęłam ręką jego członka. Znowu mnie chciał.

Niczego więcej nie pragnęłam. Kochać się cały czas, bez wścieklej pasji, cierpliwie, z uporem, krok po kroku. Iść do końca. Był górą do zdobycia i musiałam wejść na sam jej szczyt, jak w moich marzeniach, nocnych koszmarach. Najlepiej byłoby natychmiast pozbawić go męskości. Zjeść ten kawał mięsa wciąż twardy, wciąż wyprostowany, wciąż nienasycony, połknąć go i zachować w brzuchu raz na zawsze.

Przysunęłam się, lekko uniosłam, otoczyłam go ramionami. Objął dłońmi moją głowę, przyciągnął do siebie, gwałtownie wsunął mi język w usta, poruszył nim głęboko w moim gardle, zwinął go i oplątał mój język. Zaczęłam kąsać mu wargi, aż poczułam smak krwi.

Wtedy wdrapałam się na niego, przycisnęłam wzgórek łonowy do jego podbrzusza, zaczęłam ocierać się o jego jądra i członek, poprowadziłam go ręką i wsunęłam sobie do środka, potężna błyskawica, oślepiające wtargnięcie zbawcy, nagły przypływ łaski. Podkurczyłam nogi, objęłam go kolanami i ruszyłam w cwał. Kiedy tylko, uniesiona falą, widziałam jak jego organ wysuwa się ze mnie, błyszczący i czerwony, chwyciłam go na powrót i usiłowałam wbić sobie jeszcze głębiej.

Zanadto się spieszyłam. Uspokoił mnie delikatnie, wyprostowałam nogi, położyłam się na nim. Chwilę trwałam bez ruchu zaciskając mięśnie pochwy na jego członku.

Gryzłam jego pierś na całej szerokości; wyładowania elektryczne przeszywały mi język i dziąsła. Pocierałam nosem tłuste, białe mięso, drząc wdychałam jego zapach. Z rozkoszy dostałam oczopląsu, świat stał się już tylko wibrującym, abstrakcyjnym obrazem, zderzeniem cielistych plam, studnią z mięciutkiego tworzywa, w którą zagłębiałam się w radosnym pędzie ku zatraceniu. Drżenie w uszach rozeszło się po całej głowie, powieki przymknęły się; wraz z falami przepływającymi przez jamę czaszki doznałam wrażenia niezwykle wyostrojonej świadomości, jakby buchnął płomień i rozkosz ogarnęła mój mózg, milczący i wspaniale samotny.

Obrócił mnie tak, że znalazł się teraz na wierzchu i ujeżdżał podpierając się rękami, żeby mnie nie zmiażdżyć. Moszną ocierał się o moje pośladki przy wejściu do pochwy, wypełniał mnie jego twardy narząd, ślizgał się w nieskończoność po ściankach głębokiego otworu, wbiłam mu paznokcie w pośladki, dyszał coraz gwałtowniej... Razem osiągnęliśmy orgazm, rozkosz trwała długo, zmieszaly się nasze soki i przeciągłe jęki płynące gdzieś spoza gardła, z czeluści naszych piersi, dźwięki niepodobne ludzkim głosom.

Padał deszcz. Owinęłam się obszerną trykotową koszulką, którą mi pożyczył, klęczałam teraz na krześle przysuniętym do ściany. Łokciami opierałam się o parapet okna.

Gdybym potrafiła, oczywiście pisałabym językiem deszczu, ale każdy przecież zna ten język i może powrócić doń w pamięci. Być w zamknięciu, kiedy na zewnątrz świat zamienia się w wodę, wszystko spływa, tonie... Kochać się w niewygodnej ciasnocie samochodu, kiedy krople monotonicznie uderzają o szyby i dach... Deszcz rozluźnia ciała, nadaje im miękkość i wilgoć... Stają się śluzowate i rozśliznaczone...

On też miał na sobie bawełnianą koszulkę, leżał na kanapie, jego wielki tyłek, spęczniały narząd i potężne nogi były obnażone.

Podszedł do mnie, przyłożył stwardniały członek do moich pośladków. Chciałam się odwrócić, ale złapał mnie za włosy, odciągnął głowę do tyłu i zaczął wdzierać się do otworu odbytowego. Cierpiałam męki, nie mogłam poruszyć się na krześle, wciągał mnie za włosy do niebios.

Wreszcie wszedł cały i ból nieco ustąpił. Czułam go w środku, poruszał się tam i z powrotem, nic już dla mnie nie istniało, tylko jego ogromny, żarłoczny organ wypełniający mnie bez reszty, podczas gdy na zewnątrz zaciął rześisty deszcz, czyste płynne światło.

Nadal wytrząsał się we mnie, walił jak kafarem, przytrzymując mi głowę do tyłu, włożył mi dwa palce do pochwy, a kiedy je wyjął, wsunęłam tam swoje palce, czułam jego twarde narząd uderzający o tylną ściankę i zaczęłam pocierać się w tym samym rytmie. Przyspieszył ruchy, wzrosło moje podniecenie, ból zmieszał się z rozkoszą. Jego brzuch uderzał w moje plecy przy każdym ruchu łądźwi. Przeszywał mnie coraz bardziej, coraz bardziej zagarniał. Chciałam oswobodzić głowę, ale trzymał mnie mocno za włosy, musiałam strasznie wyciągać szyję, oczy miałam uparcie wzniesione ku niebu, które pustoszało. Młócił mnie, wbijał się coraz głębiej, wstrząsał moim ciałem, wreszcie, wypełnił je płynem, który tryskał ciepłymi strumieniami uderzając miękko, rozkosznie.

Wielka kropla stuknęła gdzieś miarowo o blaszaną powierzchnię. Puścił moje włosy, głowa opadła mi na futrynę, zaczęłam nieznacznie się kołysać.

Kazałam mu zdjąć koszulkę i położyć się na wznak na podłodze. Sprężynami ekspandera przymocowałam mu ramiona do nóg fotela a stopy do stołu.

Oboje byliśmy zmęczeni. Usiadłam w fotelu, przyglądałam mu się przez chwilę, leżał rozkrzyżowany, nieruchomy.

Podobał mi się w tej pozycji, pełen otwartego i uwięzionego ciała, objawionego we wspaniałej niedoskonałości. Człowiek pozbawiony korzeni, na nowo przykuty do ziemi, z przyrodzeniem jak kruchy sworzeń, wygnany z ciemności i wystawiony na światło mych oczu.

Wszystko powinno było stać się narządem płciowym, firanki, dywan, sprężyny i meble, powinienam być mieć narząd płciowy zamiast własnej głowy i drugi zamiast jego głowy.

Powinniśmy byli oboje zawisnąć naprzeciw siebie w czerwonej chłodni, na żelaznych hakach, zaczepieni sklepieniem czaszki lub głową w dół, za kostki, rozkraczeni, płaty bezbronnych ciał wydanych pod nóż naszych otwartych, sterczących narządów, rozpalonych do czerwoności. Powinniśmy byli, wyjąc pod jarzmem płci, przyzywać śmierć, czymże są nasze narządy? Zeszłego lata – kwaśny zaczyn, najpierw straciłam rękę, potem nie wiedziałam już nawet jak się nazywam, z jakiej jestem rasy, człowieczeństwo wymazało się z mej pamięci, ze świadomości mózgu i ciała, przestałam pojmować istotę mężczyzny, kobiety, a nawet zwierzęcia; próbowałam dociekać czym jestem? Własną płcią. Na świecie pozostał tylko mój bezimienny narząd i chęć sikania. To jedyne miejsce, gdzie skondensowała się i znalazła schronienie moja dusza, jedyne miejsce, gdzie istniałam, na podobieństwo atomu, błądząc między niebem a trawą, między zielenią a błękitem, czując się niczym więcej, jak czystej płci atomem, trawionym potrzebą sikania, zagubionym, szczęśliwym, otoczonym blaskiem; półwysep Świętego Wawrzyńca, to było latem, chociaż nie – jesienią, potrzebowałam całej nocy i jeszcze poranka, żeby zejść z powrotem w dół, ale później, przez wiele miesięcy, zatracalam się przy sikaniu, zawrót głowy, i już, mieszczę się cała w narządzie płciowym jak w pępku, moja istota zamyka się tam, w owym doznaniu w samym środku ciała, reszta ulega unicestwieniu, już nie znam samej siebie, nie istnieje kształt, ani opis, za każdym razem pełny odlot, a nawet więcej, choćby przez chwilę, jakbym wisiała głową w dół w wielkiej spirali wszechświata, ale skąd można wiedzieć, co warte są te chwile, potem mówię sobie „czy to prawda, kim jestem?” i „proszę! jaki świat jest piękny, kiście czarnych winogron, jak przyjemnie jest w samo południe na winobranii, słońce chwyta się owoców i błyszczy w oczach ludzi zbierających plon, wiją się winne krzewy, jak bardzo chciałabym zatrzymać się z brzegu i wysikać!”, człowiek ma w swym ciele pełno podobnych głupstw, tak mu jest dobrze po tym dziwnym zawrocie głowy, którego jednak już zaczyna mu brakować, niestety.

Podniosłam się, uklękłam w rozkroku nad jego głową. Nie mógł dosięgnąć mnie twarzą, rozchyliłam dwiema rękami swoje duże wargi, pozwoliłam mu długo patrzeć w głąb łona.

Potem zaczęłam się pieścić powoli, okrężnymi ruchami, od odbytu do lechtaczki.

Marzyłam o szarym niebie, gdzie skupia się nadzieja, gdzie drżące drzewa wyciągają czarodziej-skie ramiona, pragnęłam kapryśnych snów unoszonych przez otulone wiatrem trawy, chciałam po-

czuć między udami tchnienie milionów ludzi na ziemi, chciałam... popatrz, przyjrzyj się dobrze, czego chcę...

Wsunęłam sobie palce lewej ręki do pochwy, dalej się pieściłam. To już nie są moje palce, ale ciężka sztaba, tkwiąca we mnie wielka, kanciasta sztaba, oślepiająca złotem w najczarniejszych czełściach, mego snu. Przyspieszałam rytm obiema rękami; konwulsyjnie ujeżdżałam powietrze, odrzuciłam głowę w tył, łkając wylałam mu rozkosz prosto w oczy.

Wróciłam na fotel. Poczzerwieniał na twarzy, jego męskość znów nabrzmiewała, choć leniwie. Był bezbronny.

Kiedy byłam małą dziewczynką, nie wiedziałam nic o miłości. Kochać się – czarodziejskie słowa, obietnica czegoś niewiarygodnie cudownego, co będzie stale naszym udziałem, kiedy tylko dorosniemy. Nie miałam pojęcia, że istnieje coś takiego, jak stosunek, nie wiedziałam nawet, co mężczyźni mają między nogami, chociaż wchodziłam pod prysznic razem z braćmi. Co z tego, że człowiek w kółko na coś patrzy, i tak niczego się nie dowie, jeśli lubi smak tajemnicy.

Kiedy byłam jeszcze młodsza, miałam może cztery lata, dorośli rozmawiali przy mnie przekonani, że nie słyszę. Tata opowiadał, że jakiś wariat biega w nocy po lesie i wyje. Jestem u babki, otwieram bramę ogrodu, zabieram psa i idę do lasu; w pierwszej przecince kładę się między drzewami na kupce piachu, przytulam się do ciepłego boku wilczycy, obejmuję ją za szyję; suka wysuwa język i czeka, jak ja. Nie ma nikogo. Sosny obejmują się, pochylają nad nami, ich gest jest czuły, niepokojący. Środkiem lasu biegnie długi, wybetonowany kanał, po obu jego stronach ciągną się kolczaste krzewy jeżyn. Byłam świadkiem, jak kiedyś kierowca go-karta wypadł z trasy i wylupił sobie oczy. Jest tu bunkier z czarną paszczą zamiast drzwi, a na samym końcu zbiornik wodny, przeżarty mchem i chwastami. W twardym betonie odcisnął się ślad czyjejs stopy, ogromny ślad.

Wyciągnęłam się na podłodze, głowę oparłam mu na podbrzuszu, zasnęłam z ustami przy członku, z dłonią na jądrach. Była to z pewnością odcisnięta w świeżym cemencie stopa wielkiego żołnierza o jasnych włosach, silnego i chyba pięknego.

Kiedy się obudziłam, wzięłam do ust jego narząd, pociągnęłam parę razy językiem, poczułam jak nabrzmiewa, dławi głęboko w gardle. Masowałam mu jądra, lizałam je, wróciłam do członka. Dotykałam nim swoich oczu, czoła, policzków, nosa, ust, podbródka, szyi, przysunęłam do niego kark, przycisnęłam głowę do obojczyka, włożyłam pod jedną pachę i pod drugą, musnęłam piersiami tak, że niemal doznały rozkoszy, ocierałam się o niego brzuchem, plecami, pośladkami, udami, tuliłam w zgięciach łokci i kolan, przygniatałam do stóp, aż zachowałam jego ślad na całym ciele.

Potem włożyłam go znowu do ust i ssalam bardzo długo, jak dziecko ssie palec, życiodajną pierś matki, a on wciąż jęczał i sapał, aż wytrysnął z przeciągłym lamentem, a ja spijałam jego nasienie, jego soki, jego dar.



Uparłam się, żeby z powrotem włożyć mokrą sukienkę i pójść piechotą. Deszcz przestał padać.

Mimo woli trafiłam na plażę. Miałam przed sobą mokry piasek, wzburzone morze, dokoła pustkę. Podeszłam do samej wody: była ciemna i unosiła płyty szarej piany. Ruszyłam zygzakiem wzdłuż brzegu – fale przyplływały i odpływały niosły ze sobą miliony maleńkich bąbelków przypominających mydliny.

Wydmy miały kolor i kształt ciała.

Wsadziłam dwa palce w wilgotną, gąbczastą substancję. Morze wciąż się śliniło, onanizowało się na piasku w pogoni za rozkoszą.

Gdzie jest miłość, jeśli nie w piekącym bólu pożądania, zazdrości, rozłąki?

Nigdy już Daniel nie położy się na moim ciele. Daniel nie żyje, pochowałam go za wydumą. Ciało, którego już nigdy nie będę kochała, pociął nóż rzeźnika, oddzielił od mojego ciała. Duchu, który kochasz z dała ode mnie, duchu, mój brzuch jest rozwarty. Dwoma palcami zrobiłam sobie twój narząd, żeby przerznąć ziemię, tę dziwkę, która nie chce mnie kochać, mnie – mężczyźnę, mnie – kobietę, z krwi i kości, z brzuchem rozdartym porodami, śmiertelne mięso do wynajęcia.

Podeszłam znowu pod wydnię, usiadłam na piasku, suchym i delikatnym jak moje kości. Nawet czas jest łagodnym kołem.

Czterej chłopcy zaciągnęli mnie do „Czarnego Kota”. Poznałam ich w barze „Plażowym”, gdzie wstąpiłam, żeby się rozgrzać. Na tylnym siedzeniu samochodu Pierre i Dominique obejmowali mnie za szyję, całowali w policzki i śmiali się.

Znaleźliśmy się na zabawie, w gąszczu sztywnych, groteskowo wykrzywionych masek. Tańczyłam z wieloma partnerami, mogłam podziwiać tylko ich ciała. Ponieważ nie sposób było całować się, pary obejmowały się po omacku.

Pierre zaprosił mnie do slow-foxa. Miał osiemnaście lat, długie nogi i zgrabny mały nosek ukryty pod gumową trupią czaszką. Mocno przyciskałam skroń do jego piersi, dłonie do pleców, i pozwalałam mu na pieszczoty.

Kiedy skończył się taniec, zdjął maskę, wziął mnie za rękę i pociągnął na dwór.

Powietrze było chłodne, niebo bez gwiazd. Pierre objął mnie, przytuliłam się do niego z przyjemnością. Pocałował mnie.

W samochodzie znowu mnie pocałował. Zapalił światła i ruszył.

Zatrzymał się na szosie biegnącej przez las. Znowu zaczął mnie całować.

Wypuścił mnie z samochodu i trzymając za kark popchnął w głąb lasu.

Położył mnie na ziemi, wyciągnął się na mnie, zadzierając mi sukienkę. Nie miałam na sobie bielizny i zorientowałam się, że spuścił spodnie. Wszedł we mnie natychmiast i od razu zaczął głośno dyszeć. Wytężałam wzrok w gęstych ciemnościach, usiłowałam znaleźć granicę między niebem a drzewami. Wkrótce dostrzegłam poruszającą się jaśniejszą plamę. Zza chmury wyjrzał księżyc, oblał nas mlecznym światłem.

Wtedy zobaczyłam nad sobą maskę śmierci.

Krzyknęłam i chłopiec z krzykiem trysnął mi spermą w głąb brzucha.



Przygarnął mnie świt. Cała usmolona, oblepiona ziemią, spragniona leżałam w rowie, który zimą służył do odprowadzania wody.

Wstawał dzień, zabijał ciemności z ich orszakiem tajemnic. Ale światło było jeszcze bardziej niepokojące, zmuszało, żeby wszystko widzieć, wszystko wiedzieć. Jednak przyjęłam je z uśmiechem.

Poranne ptaki odezwały się śpiewnym chórem. Zaraz wrócę do domu i zabiorę się do malowania.

Postanowiłam wydostać się z jamy, ale nie mogłam się ruszyć. Miałam sparaliżowaną prawą rękę od ramienia po dłoń. Przy najmniejszym ruchu ból promieniował od pleców i nóg.

Całą noc słyszałam jak morze śni na twardym podłożu, a las przesywają dreszcze. Biegłam w ciemnościach, potykałam się o ostre konary drzew, płakałam czarnymi łzami, wreszcie upadłam do rowu, gdzie przyjęła mnie ciepła ziemia, spałam w ziemskich pieleszach, pod ogromną węglową kapą, pod skrzydłem kruką, wśród ponurego pohukiwania sowy.

Przesunęła się po mnie drżąca i połyskliwa noc, piłam ją wielkimi haustami, przepełniała mnie bez reszty.

A teraz wstawał dzień i rozdzierał ciemności, których strzępy czepiały się jeszcze pni. Potem, błysnął pierwszy promień słońca, przeciął drogę i wbił się w gałęzie jak ostrze noża. I noc zatarła się całkowicie.

Ptaki krzyczały głośnie; w trawie, pod igłami sosen zaczęło wrzeć. Ciągle słyszałam w oddali morze, po którym zapewne harcowały świetliste plamki.

Przejechał samochód.

Znowu spróbowałam się podnieść. Cała obolała, z wielkim wysiłkiem zaczęłam pełznąć podpierając się lewym łokciem. Przesunęłam się bardzo nieznacznie, ból uniemożliwiał mi ruchy. Ponowiłam próbę, zyskałam parę centymetrów.

Rów był zbyt głęboki i w tym stanie nawet nie miałam co marzyć, żeby się z niego wydostać. Na leżało dotrzeć do mniej spadzistej ściany. Postanowiłam czołgać się na lewym łokciu, bez odpoczynku, nie zważając na ból, który mnie przesywał. Posuwałam się maleńkimi miniaturowymi ruchami, mogłabym je zmieścić w moich obrazach. Ze śmiechem pomyślałam o Danielu, o straconych chwilach miłosnych uniesień, o jego umyśle nie wartym złamanego grosza.

Śmiałam się bezgłośnie, przy każdym drgnięciu czułam szarpnięcie w żebrach i plecach. Jednak byłam szczęśliwa i wciąż się śmiałam z twarzą wtuloną w sosnowe igły.

Pełzałam dalej wyrzucając w przód łokieć, wbijałam go w ziemię i ciągnęłam resztę ciała. Ból stał się nieco mniej dojmujący i wkrótce mogłam pomagać sobie kolanami.

Podobał mi się ten rów, z przyjemnością się w nim czołgałam. To był piękny rów, z trawą, kropkami rosy, piaszczystą, czarną ziemią i kobiercem sosnowych igieł, pod którym roił się świat małych stworzonek.

Kilka metrów przede mną rów rozszerzał się w nieckę. Takiego wyjścia szukałam. Przybyło mi sił.

Dotarłam do miejsca, gdzie spadek był wyraźnie łagodniejszy. Na dobrą sprawę, ciągle jeszcze nie mogłam się posługiwać prawą ręką. Wspinałam się przy pomocy lewego przedramienia, palców stóp i kolan. Ześlizgiwałam się wielokrotnie i musiałam zaczynać wszystko od początku. Ale nie ustawałam w wysiłku, aż wreszcie dotarłam na szczyt.

Znalazłam się na poboczu szosy. Dumna z własnej wytrwałości wciągnęłam powietrze głęboko do płuc. I udało mi się stanąć na czworakach. Spostrzegłam, że wróciła mi władza w prawej ręce. Sukienkę miałam zupełnie podartą, czułam po wewnętrznej stronie nóg spływające strużkami resztki spermy. Piekła mnie podrapana, obtarta skóra na rękach i nogach.

Poboczem ruszyłam na czworakach przed siebie. Trudno sobie wyobrazić, co można spotkać przy drodze: tyle rozmaitego zielska, kwiaty, grzyby, najróżniejsze kamyki i rzeszę małych stworzonek...

Z daleka usłyszałam warkot samochodu. Przyłgnęłam z całych sił do ziemi, zmieniłam się w kameleona, trawę, pobocze szosy.

Samochód minął mnie.

Droga ciągnęła się prosto. Zostało mi zaledwie parę kilometrów, i mogłam teraz iść na czworakach. Serce przepęłniała mi radość.

Dobrze, że nikogo nie spotkałam. Nikt się nade mną nie litował, nikt nie zniszczył nabrzmiałego nadzieją szczęścia. Tacy są ludzie: nie dostrzegają urody twojego życia, które wydaje się im straszliwie smutne, jeśli, na przykład, w środku lata nie jesteś opalony. Chcą, żebyś prawdziwą radość upatrywał w tym samym, co oni, a jeśli tylko im ulegniesz, już nigdy nie trafi ci się sposobność, by spać samotnie w rowie, z rozdartą duszą, pośród czarnej nocy.

Na czworakach wyobrażałam sobie, że jestem psem, kotem, słońcem, wielorybem. Przede mną wznosiło się słońce, rozgrzewało ociekającą potem twarz. Wieloryby mieszkają w oceanach i plują wodą, żeby się odświeżyć. Dla ochłody skubnęłam trochę trawy. Przypadkiem połknęłam parę owadów, które mi się nawinęły.

Wkrótce poczułam się na tyle dobrze, że postanowiłam wstać. Wciąż podparta rękami o ziemię oderwałam kolana i tyłek. A kiedy poczułam twardy grunt pod stopami, puściłam obie ręce, jak na rowerze przechyliłam się do tyłu, balansując ciężarem tak, by znowu nie upaść.

Ruszyłam skrajem szosy boso, po trawie i kamieniach, po wszystkim tym, o czym człowiek nie ma pojęcia.

Mijały mnie samochody, jeden zatrzymał się, ale nie chciałam wsiąść. Czułam się mocniejsza niż kiedykolwiek. Miałam siłę rzeźnika i spryt chłopca w masce śmierci.

Przede mną wyłoniła się szeroka aleja. Namaluję łódź i kiedy wróci deszcz, będę gotowa. Zabiorę na pokład wszystkie ziemskie zwierzęta i jednego rzeźnika; będziemy razem żeglować w czas potopu.

Dotarłam do pierwszego domu. Zza żywopłotu wyzierały róże. Zerwałam jedną z nich i kępkami zaczęłam wkładać sobie płatki do ust. Były cieniutkie i delikatne, ale nie mogłam ich przełknąć. Do bramy podbiegł, ujadając i szczerząc zęby, podwórzowy pies. Zjadłam smakowity kwiat, i rzuciłam mu kolczastą łądkę.

ALINA REYES